



PODRÓŻ DO MIEDNOJE

**NAJWIĘKSZA ZBRODZIA
W HISTORII ZAOLZIA**

Mečislav Borák

Specjalny wojskowy Jak-40 z kompletem polskich naukowców i dziennikarzy na pokładzie przeciął wstęgę największej europejskiej rzeki Wołgi, w tym miejscu niewiele szerszej od Odry w Boguminie, i zaczął schodzić do ładowania. Zbliżał się starodawny Twer, znane już w XII wieku miasto książęce, przemianowany jednak w czasach sowieckich na Kalinin. Dzisiaj półmilionowy rejonowy ośrodek przemysłowy leżący 180 km na północny zachód od Moskwy, przy autostradzie do Sankt Petersburga. Podwozie nieco zaskrzypiało na nierównym, poprzerastanym chwastami betonie i w mig kołowaliśmy wzdłuż długich szeregów „warty honorowej” opasyłych samolotów do transportu ciężkiego sprzętu wojskowego, jakie pewnego razu przywoziły do nas w czasie Praskiej Wiosny czołgi. Spoglądaliśmy w stronę ich czterech olbrzymich śmigieł z pewnym respektem, ale rdzawe plamy na maskach silników nie budziły zbytniego zaufania. Podobnie jak nieodzowny żołnierz z pistoletem maszynowym w ręku i mundury funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które różniły się od dawnych uniformów KGB chyba tylko nowymi dystynkcjami. Oddaliśmy im swoje paszporty i deklaracje celne, przesiedli się do podstawionego autokaru i powoli, pilotowani

przez samochód policyjny, ruszyliśmy obrzeżami miasta do autostrady piotrogrodzkiej. Ponownie przekroczyliśmy Wołgę – zabudowania trafiały się coraz rzadziej, by w końcu na bezkresnej równinie po obu stronach szosy pozostały tylko sosny i brzozy.

Aż w te strony dotarli w czasie wojny zagony wojsk hitlerowskich podczas ofensywy na Moskwę. Jej wieże były już w zasięgu wzroku zdobywców. Nigdy, co prawda, pod nimi nie stanęli, lecz przy próbie obejścia Moskwy od północnego zachodu przełamali sowiecką obronę i zapuścili się aż w okolice Tweru, zajmując ostatecznie miasto w połowie października 1941 roku. Kolejny atak w kierunku na Torżok natrafił już na zacięty opór Sowietów, którzy po przegrupowaniu sił utworzyli nowy Front Kaliniński pod dowództwem generała Koniewa. Braki w uzbrojeniu i amunicji nadrabiali jego żołnierze desperackim bohaterstwem w walce na bagnety, zmuszając Niemców do wycofania się z powrotem do Tweru. Za dwa miesiące, po nadejściu posiłków wypędzili ich z miasta, spychając dalej na zachód. Tym samym noga niemieckiego żołnierza nigdy nie stanęła w obozie polskich jeńców wojennych w Ostaszkowie nad Jeziorem Seligerskim ani w miejscu ich ostatniego spoczynku w pobliżu wsi Mied-

noje pod Twerem. W tej sytuacji, w przeciwieństwie do obozów w Kozielsku i Starobielsku oraz miejsc pochówku polskich jeńców w Katyniu i Charkowie, władze sowieckie nie mogły się już wymawiać, że zbrodni na Polakach dokonali Niemcy.

Właśnie las przy siole Jamok nie opodal wsi Miednoje, oddalonej 32 km od Tweru, był celem naszej podróży. Po około 20 kilometrach autostrada minęła starą drogę do Miednoje, którą przed sześćdziesięciu laty ciężarówki sowieckiej bezpieki przewoziły swój koszmarny ładunek. Od 4 kwietnia do 13 maja 1940 roku jej funkcjonariusze zamordowali w piwnicy budynku Zarządu Rejonowego NKWD przy ulicy Sowieckiej nr 2 w Twerze około 6300 polskich jeńców z obozu w Ostaszkowie, przeważnie policjantów. Po jednym prowadzono ich do pomieszczenia udekorowanego symbolami sowieckiej propagandy i zwanego „czerwoną świetlicą”. Tu po raz ostatni sprawdzano ich nazwiska. Uszczelnione sierścią wielbłądzia drzwi skutecznie wygłuszały odgłosy wystrzałów w piwnicy. Jeńcy nie przeczuwali nawet, jaki los ich czeka. Większość wierzyła do ostatniej chwili, że zostanie przekazana urzędowi niemieckim, i cieszyła się na spotkanie z rodziną. Nie było im jednak sądzone... Oprawcy z NKWD skrupowali im ręce, zaciągnęli do piwnicy, by tam przystawić im znieczulenie do potylicy lufę pistoletu i pociągnąć za spust. Ciała ładowali na ciężarówki i wywozili na tereny wypoczynkowe NKWD w Miednoje, gdzie wrzucali je do wcześniej przygotowanych dołów. Mordowali tylko nocą, do świtu zdołali „sprzątnąć” nawet dwie setki więźniów. Zmieniało się przy tej krwawej rzezi około trzydziestu funkcjonariuszy NKWD, otrzymując w zamian nadzwyczajne racje wódki, kiełbasy i ryb, a po zakończeniu całej akcji również niewielką premię pieniężną. Przed kilku laty niektórzy z oprawców zeznawali przed organami śledczymi polskiej i rosyjskiej prokuratury –

np. Piotr Tokariew i Dmitrij Soprunienko. Bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia opisywali drobiazgowo przebieg mordu, przemyślaną do najmniejszego szczegółu jego organizację – na zabicie i „uprzątnięcie” więźnia musiało starczyć zaledwie kilka minut. Ciężarówka zawracała w ciągu nocy dwukrotnie. Masowe groby głęboka koparka typu „Komsomolec”, podziwiana wówczas nowością sowieckiej techniki. Wykopała ogółem dwadzieścia trzy groby.

Do mogił w lesie przy Miednoje dotarliśmy okrażoną drogą z autostrady. Na każdym skrzyżowaniu stał umundurowany milicjant, oddając nam honory. Droga stała się coraz bardziej błotnista, w końcu jednak zobaczyliśmy wysoki las sosnowy, wyrastający z rosyjskiej równiny kilkanaście metrów ponad okoliczny teren. Minęło ponad pół wieku, zanim groby znaleziono w tym akurat miejscu. W sowieckim ustroju totalitarnym łatwo było bowiem zbrodnię ukryć. Krążyły pogłoski, że jeńców z Ostaszkowa utopiono w Jeziorze Seligerskim albo w Morzu Białym, innym razem szukano ich grobów w sąsiedztwie stacji kolejowej Bologoje. Dopiero na początku lat 90., kiedy Związek Sowiecki przyznał się oficjalnie do odpowiedzialności za zbrodnię katyńską, cmentarzysko w Miednoje zostało ujawnione. Pracownicy sowieckich służb bezpieczeństwa dobrze wiedzieli o jego istnieniu i ze stosunkowo dużą precyzją wskazali miejsca, gdzie mogiły się znajdują. W 1991 roku polscy specjaliści wykonali tu pierwsze sondy ekshumacyjne, wydobywając z mogił setki przedmiotów, które pomimo upływu kilkudziesięciu lat wydały konkretne świadectwo o zbrodni i dostarczyły niezbitych dowodów, że zaginieli jeńcy z Ostaszkowa spoczywają w tym właśnie miejscu.

Chwilę przed naszym przyjazdem do lasu towarzyszący nam w drodze od samego lotniska drobny deszcz ustał. Niby cudem. Padało podobno przez cały wczoro-

rajszy dzień. Brukowane alejki lśniły jeszcze cieniutką powłoką wody, lecz pośród drzew coraz śmiejle przebłykiwały promienie słońca. Cmentarz wojskowy wkomponowano w leśny teren i jego trawiaste polany z dużą powściągliwością i wycuciem umiaru, nie klóci się więc z otoczeniem, wręcz przeciwnie – zestraja się z nim, harmonizuje. Wszystko przemyślano do ostatniego drobnego szczegółu: wysoka ścianę pamiątkowa z nazwiskami pomordowanych w centralnej części cmentarza, jak również tabliczki z danymi osobowymi poległych wykonano prawdopodobnie z jakiegoś stopu metalu z domieszką żelaza, co sprawia, że w czasie deszczu ciemnieją one, zaś w słońcu dla odmiany jaśnieją, przybierając rdzawoczerwony kolor wszędzie tu obecnej żelazistej ziemi. Podobnie olbrzymie drewniane krzyże ustawione na uporządkowanych z pietyzmem, porośniętych leśną trawą masowych grobach, jak i ten największy pod ścianą pamięci, prawie że zlewają się z pniami roślących sosen. Grupa brzożowych krzyży, stojących pierwotnie na grobach, nie ukrywa z kolei swego pokrewieństwa z okolicznymi brzożkami, które tu i tam rozjaśniają sosnowy las. No i podziemny dzwon przy ścianie pamiątkowej, w sąsiedztwie stołu ofiarnego, dzwon, którego miękki a zarazem głęboki głos wypełnia podczas nabożeństwa cały las cmentarny, łącząc z uporem martwych z żywymi. Wydaje się, że członkowie konkursowego jury, które z 32 nadesłanych projektów na architektoniczny kształt cmentarza wojskowych w Katyniu, Miednoje i Charkowie wybrało ostatecznie właśnie projekt gdańskiego rzeźbiarza Zdzisława Pidka, mieli szczęśliwą rękę.

Stosunkowo duże tabliczki z nazwiskami pomordowanych policjantów, uzupełnione o ich stopień, datę i miejsce urodzenia, miejscowość ostatniego przydziału służbowego i rok śmierci opasowują dłu-



gim sześćosierzegiem cały teren cmentarza. Na chodnikach zastępy krewnych i przyjaciół ofiar, którzy przybyli w to miejsce specjalnym pociągiem i autokarami już rano. Wstęgami, zdjęciami i kwiatami dekorują tabliczki z nazwiskami swoich krewnych, zapalają znicze i w cichej zadumie przeżywają tę okrutną i błogosławioną zarazem chwilę duchowego zespolenia, w które jeszcze niedawno tak trudno im było uwierzyć. Nareszcie doczekali się wypełnienia naturalnego prawa człowieka do uczczenia pamięci swoich Zmarłych.

Przechodzimy obok rzędów w kolejności alfabetycznej uszeregowanych tabliczek i co krok wyrwykowo wyławiamy z pamięci znane nazwisko: Andrzej Broda z Ropicy, Jan Brudny z Nieborów, Karol Delong ze Stonawy, Karol Dominik z Łazów, Arnold Kalina z Karwiny, Karol Santarius z Datyń Dolnych, Karol Supik z Karpętnej... Setki imion płyną leśnym półmrokiem i po słonecznych zboczach wokół centralnej części cmentarza, ponad sześć tysięcy trzysta unicestwionych istnień ludzkich. Największy polski cmentarz wszech czasów. Cmentarz wojskowy, na którym nie spoczywają żołnierze polegli w walce, lecz pracownicy państwowi, obywatele sąsiedniego państwa, bezlitośnie pomordowani w czasie pokoju.

Największy to zarazem cmentarz Polaków z Zaolzia, ofiar jednej masowej zbrodni. W książce „Symbol Katynia“, wydanej

w 1991 roku, doliczyliśmy się ogółem 156 ofiar z obozu w Ostaszku, kolejne mogły znajdować się wśród zaginionych. Już pierwsza sonda ekshumacyjna przeprowadzona w Miednoje w tym samym roku, która przypadkowo natrafiła na grób śląskich policjantów, potwierdziła, że spoczywają tu naprawdę mieszkańcy Zaolzia. Z wydobytych z grobów zapisków udało się nawet po wielu latach odczytać 242 nazwiska, z których 34 należały do mężczyzn z Zaolzia. Światło dzienne ujrzały nareszcie wyciągnięte z archiwów rosyjskich listy transportowe, dokładne listy imienne grup jeńców wywożonych do likwidacji z Ostaszku do Tweru. Na ich podstawie można było ustalić w przybliżeniu nawet datę śmierci ofiar, zaś rodziny zaginionych mogły wreszcie otrzymać urzędowe poświadczenie tego bolesnego faktu. W następnych latach zgłaszali się kolejni krewni zaginionych, przybywały nowe archiwalia i dalsze materiały, tak że liczba ofiar Ostaszku pochodzących z Zaolzia przekroczyła dwie setki. Już wówczas, kiedy w skupieniu przechodziłem koło tabliczek w Miednoje i kontrolowałem poprawność danych, które już wcześniej zdążyłem ustalić, byłem przekonany, iż nie będzie to liczba ostateczna. Na myśl mi jednak nawet nie przyszło, że wkrótce po powrocie z Miednoje odszukamy w archiwaliach Muzeum Katyńskiego w Warszawie dziesiątki kolejnych nazwisk. Wszystko wskazuje na to, że w lesie w Miednoje spoczywa ponad trzystu Polaków z Zaolzia! Obywateli, którzy urodzili się na Zaolziu bądź mieszkali tu w chwili wybuchu wojny.

Jak to możliwe, że nie znaleźliśmy dotąd owej ponad setki nazwisk? W wypadku policjantów, którzy przybyli do służby na Zaolziu skądś z Polski, wyjaśnienie jest proste: Nie mieli tu krewnych, zaś ich koledzy albo zginęli wraz z nimi, albo po prostu zapomnieli po latach. Ale co rodacy

z miejscowości zaolziańskich? Dlaczego ich nikt nie szukał, dlaczego nie pojawili się w rejestrze ofiar? Nie przychodzi mi nic innego do głowy, jak tylko to, iż do służby w Policji Województwa Śląskiego zgłaszali się przede wszystkim młodzi mężczyźni, kawalerowie i bezdzietni, w przeciwieństwie na przykład do oficerów rezerwy, którzy zginęli w Katyniu czy Charkowie. Ich rodzice dawno już pomarli, rodzeństwo, być może, wyprowadziło się w nieznaną i tym samym w wielu wypadkach nie znalazł się widocznie nikt, kto by po upływie ponad pół wieku, kiedy rozpoczęto oficjalne ustalanie ofiar, mógł podać jakąkolwiek informację o zaginionych. Na pewno istnieją i inne powody. Imienną listę nowo ustalonych ofiar poddajemy właśnie weryfikacji: Gustaw Baranek z Błędowic Dolnych, Józef Bączek z Suchej Górnej, Jan Kaleta z Koszarzysk, Karol Klais z Łąk, Adolf Kuczaty z Karwiny, Franciszek Parzyk z Szumbarku, Mikołaj Pawlus z Lutyni Polskiej, Robert Raszyk z Darkowa, Jan Rozbrój z Suchej Górnej, Józef Santarius z Datyń Dolnych itd., itd.

Pierwotnie zakładano, że w Miednoje przeprowadzi się całościowe ekshumacje wszystkich 23 grobów oraz identyfikację poszczególnych ciał, jak to miało miejsce w Katyniu w czasie wojny. Pierwsze sondy ekshumacyjne pozwalały wierzyć w znalezienie kolejnych pisemnych dokumentów. Nieco później okazało się jednak, że na skutek specyficznego składu tutejszego leśnego gruntu zwłoki pomordowanych nie uległy jeszcze całkowitemu rozkładowi i spoczywają w grobach w kilku zbitych warstwach, zaś do ich oddzielenia należałoby posłużyć się maszynami do robót ziemnych. Z powodów etycznych nie wchodziło to oczywiście w rachubę, stąd badano podczas ekshumacji tylko górne warstwy zwłok, co i tak nie pozwalało na ich indywidualną identyfikację. Zrezygnowano więc z kompleksowych ekshuma-

cji, a zamiast nich uporządkowano z pietyzmem miejsca pierwotnych grobów.

Nagle poruszenie wśród dziennikarzy i ich szybkie przesunięcie się do drugiej części, cmentarzyska, oddzielonej od polskiego cmentarza wojskowego dekoracyjnym płotem, sygnalizowały, że przybył właśnie premier J. Buzek, który wraz z ministrem spraw wewnętrznych Federacji Rosyjskiej, W. Ruszajło, uczestniczył w odsłonięciu pomnika rosyjskich ofiar sowieckiego ustroju totalitarnego. Były rosyjski premier Czernomyrdin zgodził się w 1996 roku na budowę polskich cmentarzy wojskowych jedynie pod warunkiem, że zostaną uzupełnione o wspomniane pomniki, ponieważ we wszystkich miejscach kaźni Polaków mordowano przez wiele lat również obywatele sowieckich. Co ciekawe, owe pomniki ofiar stalinizmu powstały po raz pierwszy w historii z inicjatywy rządu rosyjskiego, a nie, jak dotąd, na koszt stowarzyszeń obywatelskich. Na czas uroczystości w Miednoje zainstalowano w sąsiedztwie pomnika wystawę zdjęć i dokumentów o potwornych represjach, których ofiarami padło podobno ok. dziewięć tysięcy mieszkańców tych okolic a którzy zostali pogrzebani w innych zakątkach lasu. Obserwowaliśmy młodych rosyjskich milicjantów w mundurach z odznakami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jak z uwagą przyglądają się dokumentom o pracy swoich poprzedników. Chciałoby się wierzyć, że nastąpi już, być może, w Rosji czasy zrozumienia i odrzucenia ślepych dróg rozwoju, które kosztowały tyle niepotrzebnej krwi.

I już rozpoczęły się główne uroczystości – meldunki dowódców jednostek policyjnych, defilada, hymny, uroczysta msza święta i modlitwy ekumeniczne innych wyznań, ceremonia przeniesienia Krzyża Virtuti Militari, przemówienia premiera Buzka i ministra Ruszajła, odczytanie orędzia prezydenta Kwaśniewskiego, prze-

mówienia komendanta głównego polskiej policji J. Michny i prezesa Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939” W. Banasia. Następnie odbył się Apel Poległych, honorowy salut i akt złożenia wieńców pod ścianą pamiątkową. Nie zabrakło wśród nich również wieńca Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Republice Czeskiej, który położyli prezes Stowarzyszenia, Józef Pilich wraz z siostrą Stanisławą Ryłko – dzieci zamordowanego starszego przodownika PWS we Frysztacie, Józefa Pilicha. Umilkły dźwięki żałobnej melodii, goście rozchodzą się po cmentarzu i zapalają świece.

Powrotny lot naszego dziennikarskiego Jaka odbywał się w gwałtownych porывach wiatru. Nawet go nie postrzegaliśmy. Myślni powracaliśmy nieustannie do owego upiornego lasu za Wołgą, gdzie na jednej z masowych mogił położyliśmy kilka kamyków, wydobytych w podwieczór naszego wyjazdu do Warszawy z koryta cieszyńskiej Olzy. Może przynajmniej one połączą martwych w Miednoje z domem rodzinnym.

Stanisława Ryłko i Józef Pilich, wystawnicy zaolziańskiego Stowarzyszenia Rodzina Katyńska, w Miednoje

